

Z LEKTUR ZAGRANICZNYCH

Pojawiło się ostatnio sporo dobrych książek, w branży". Wybrałem kilka do prezentacji i mam nadzieję, że wybór był trafny.

PRÓBA REFLEKSJI

Guru (wciąż jeszcze) anglo-amerykańskiego bibliotekarstwa, Michael Gorman [1]- którego poprzednie książki już tu sygnalizowałem - pokusił się o kolejną próbę ogólnej refleksji nad współczesnym bibliotekarstwem (Gorman, 2005), tym razem bardziej osobistą i eseistyczną w formie: ciekawą acz

nie bez wad (****). Razi mianowicie pretensjonalna forma. Autor chciałby bowiem tak pisać, jak Marshall McLuhan lub Umberto Eco, ale jednak Gorman to nie Eco i niektóre pomysły narracyjne są chybione.

Poza tym ujawniło się, że nie cierpi elektroniki i tej swojej awersji nie trzyma tym razem na wodzy: szuka wad, gdzie są oraz gdzie ich nie ma. Tymczasem, tak jak oczywistym idiotyzmem jest obwieszczanie zagłady pisma, bzdurą jest też traktowanie Internetu jak wymysłu szatana. Komunikacja publiczna, także w bibliotekach, jest i nadal będzie wielomedialna - z czym zresztą Gorman zgadzał się dotychczas (nieszczercze?), ale teraz wziął sobie elektronikę na kiel.

Ujawnia natomiast sentyment do stereotypu czytania. W pustym pokoju, w samotności, w kręgu światła kiedy dookoła ciemno, można wejść w magiczny świat czytanych treści - tym pełniej i głębiej, im mniej ma się lat. A bibliotekarz miałby pilnować tej ciszy i sprzyjać tej magii. Otóż to jest urokliwa (?) antykomputerowa bajeczka. Tak nigdy nie było.

Natomiast był i nie zmienił się podstawowy paradygmat bibliotekarstwa - działanie dla publicznego pożytku. Czemu służy bibliotekarska życzliwość, wiedza oraz wsparcie. Gorman sugeruje, że nie jest z tym równie dobrze, jak było. Być może ma rację, ale może to tylko wspomnieniowa idealizacja przeszłości.

Współcześnie zaś za wymysł bigotów i wielkie zło uważa biblioteczną filtrację. Nie wolno filtrować - powiada - i piekli się na antyterrorystyczne ustawy (odnoszące się również do bibliotek) oraz na filtrowanie bibliotecznego oferty dla dzieci. To wskutek tych praktyk, jak twierdzi, w 2001 r., w stanie Nowy Meksyk, jakiś człowiek publicznie palił powieści o Harrym Potterze.

Zatem, proszę Państwa, żadnego wyboru w gromadzeniu, bo to wszak naganne filtracja: bierzemy jak leci! Dzieciom serwujemy obficie pornosy, starszym - przepisy na domową konstrukcję bomb, a wszystko za pieniądze publiczne. Na takie *dictum* musi opaść szczeka.

Bibliotekarzy oraz archiwistów nazywa Gorman schizmatykami tego samego Kościoła, ale widzi też różnice: bibliotekarze to aktywni pośrednicy zestawiający po swojemu transmitowane treści, a czasem tworzący je od nowa. Oraz dbający o ich jakość. I tu następuje przywołanie sporu z Disneyem, który zapaskudził wartościowe opowieści dla dzieci.

A czy społeczeństwo nas ceni? Z jednej strony wiele bibliotek to dziś ważne ośrodki lokalnego życia. Z drugiej: kiedy w jednym z amerykańskich okręgów zlikwidowano biblioteki we wszystkich szkołach średnich, nikt nie kiwnął palcem. Jest więc jakaś ambiwalencja w społecznej opinii. Bibliotekarz(ka) nadal kojarzy się z praktyką czytania i., „Marion - okularnica” (jest takie potoczne określenie bibliotekarki) stanowi dla wielu symbol zawodu. Zaś lansowany współcześnie model technicyzowany przyjmuje się ile; tamten jest silniejszy. Może też dlatego, że wszędzie personel biblioteczny starzeje się bardzo i nie jest kojarzony z nową technologią.

Poza tym - twierdzi Gorman - nie wykorzystuje się szansy wypromowania zawodu przez osoby znane. A oto bibliotekarze: Hector Berlioz, Henry Longfellow, Jorge L. Borges, Aleksander Sołżenicyn (w łagrze), a także Mao Tse-tung i Casanova. Też uważam, że Casanova jako symbol zawodu byłby znakomity: najwyższy czas na bibliotekarstwo falliczne. Wśród innych postaci przypomina jeszcze autor niejakiego Louisa Jasta, wąatego potomka polskiego kawalerzysty (!?), który kierując w latach międzywojennych biblioteką publiczną w Manchesterze, był też wziętym publicystą i eseistą.

Bardzo krytycznie ocenia Gorman obecne kształcenie bibliotekarzy, z sentymentem wspominając znakomitą szkołę bibliotekarską na Uniwersytecie w Chicago, założoną w 1926 r., która jednak już nie istnieje. Obecnie w instytucjach INiB dominują specjaliści od informacji, nie mający o bibliotekarstwie pojęcia, toteż kształcenie z praktyką żadnego związku nie ma. Istnieje pozoro-

wana akredytacja i przestarzały kanon nauczania, którego nikt nie przestrzega. Tak więc profesja straciła kontrolę nad kształceniem profesjonalistów.

Równie krytycznie odnosi się Gorman do elektroniki uważając, że dobrze służy jedynie prostym informacjom o faktach i odpowiedziom na (również) proste pytania - koniecznie więc weryfikowanym jeszcze przez źródła pisemne. Akceptując zaś elektroniczne metamorfozy katalogów, twierdzi jednocześnie, że pomysł na metadane to katalogowanie bez katalogowania.

Dalszy ciąg wywodu: Internet narodził się z ARPANET-u w 1983 r. i dzisiaj zżera lwią część bibliotecznych budżetów, kosztem piśmiennictwa. A czego szuka się w Internecie? Głównie informacji bieżących, wiadomości o handlowej ofercie oraz o chorobach i o leczeniu. Otóż to nie ma z bibliotekami nic wspólnego. Natomiast Internet obiecał każdemu szansę publikowania i rzeczywiście tak jest - w najbardziej narcystycznych formach, mianowicie w blogach oraz w blogatonach (blogowiskach).

Pyta też Gorman (nie bez podstaw) o trwałość zasobów sieciowych, które wszak znikają szybko. Jego zdaniem, im bardziej potrzebna jest wiedza zamiast informacji, tym z Internetu mniejszy pożytek, a tym bardziej potrzebny bibliotekarz-pośrednik. Ale (dodaje) wiedzę zabija mania sprawdzianów testowych.

Prognozy oraz predykcje, zapowiadające rozwój komunikacji elektronicznej, zdaniem Gormana mogą być mylne, bo wcześniej nikt nie przewidział, że teraz będzie tak jak jest. Ludzie poza tym wolą czytać z kartki niż z ekranu, odpowiedniego jedynie dla tekstów krótkich, a w ogóle książka ma się doskonale. I nawet kształcenie zdalne traci impet, skoro Uniwersytet stanu Columbia poniechał tej formy studiów... Hm.

Natomiast gromadzenie i pośrednictwo to, według Gormana, trwałe składniki bibliotekarstwa. Które nadal weryfikują się pozytywnie.

No i jest jeszcze autorski akcent osobisty. Bibliotekarze - jak wszyscy - przechodzą na emerytury, lecz bibliotekarstwo to nie tylko zawód, ale także sposób bycia. Więc jedni kontynuują pracę, bywa że bezpłatnie, a inni pozostają w każdym razie ze swoimi bibliotekami w kontakcie. Jeszcze inni zostają w zawodzie, ale już bez tego kontaktu. A niektórzy po prostu znikają. I każdy wariant ma jakieś uzasadnienie.

WIZERUNEK (PRAWIE) GLOBALNY

Irina Bagrowa [2] z moskiewskiej Biblioteki Narodowej od lat robi przeglądy anglojęzycznego piśmiennictwa bibliotekarskiego, niektóre teksty przekłada, a niedawno zebrała wszystko w jeden wielotematyczny i pokaźny tom (Bagrowa, 2004). Jest w nim niemało powtórzeń, niektóre przekłady trafiły tam niepotrzebnie, no i nie wszystkie problemy zostały zreferowane z identycznym znawstwem. Ale publikacja jest ważna oraz ciekawa (****), bo prezentuje wizerunek bibliotekarstwa nieomal globalny, ale p o s t r z e g a n y z zewnątrz, więc tak jak widzimy go również my.

Przywołana, zagraniczna literatura przedmiotu, jest imponująca. Niektóre publikacje sygnalizowałem i ja tutaj, ale tam jest ich o wiele więcej. Z tym, że przydałby się ogólny rejestr przywołań, wspólny dla całego tomu oraz indeks nazwisk, a nie ma.

Najwięcej miejsca, co zrozumiałe, poświęca autorka opiniom o funkcjonowaniu bibliotek narodowych. Przeważa pogląd, że gromadzenie i archiwizacja zasobów, koniecznie mieszanych, więc drukowanych i elektronicznych, powinna realizować się nie w jednej księżnicy, lecz w trybie kooperacji, najlepiej w układzie konsorcjalnym. A już inna sprawa, że materiały elektroniczne są zwykle dostępne tylko czasowo, trwa więc spór z wydawcami co do reguł i sposobów archiwizacji. Nie mówić o dużych kosztach, pomnożonych wszak przez wysokie ceny urządzeń.

Nie brak też wątpliwości co do form archiwizacji, wobec krótkiej trwałości obecnych nośników elektronicznych. Bagrowa twierdzi, że przeważa mikrofilmowanie, lecz sama pisze gdzie indziej, że to najmniej trwałe (20 lat) ze wszystkich nośników. Paradoksalnie więc, stosuje się w archiwizacji remediację piśmienniczą, wobec długiej (500 lat) trwałości papieru syntetycznego. Stąd też odrodzenie koncepcji bibliotek składowych (*storage library, repository*) dla zasobów archiwizowanych, ale: przechowywanych nie w jednym miejscu, lecz w segmentach dziedzinowych i tylko koordynowanych przez biblioteki narodowe.

Bibliotekom narodowym nadal przypisuje się powinność krajowego przywództwa bibliotecznego, także w zakresie elektronizacji procesów bibliotecznych i katalogowania oraz tworzenia zasobów dygitalnych. To również ciągle główny edytor bibliografii narodowej i koordynator międzynarodowej współpracy bibliotek krajowych. Stosunkowo nowe są natomiast postulaty zarobkowania na niektórych usługach i wysokiego umocowania prawno-finansowego, np. przez podporządkowanie królowi bądź prezydentowi.

Autorka przywołuje też sugestię kryzysu bibliotek narodowych - chyba niepotrzebnie. Zwerbalizował ją tylko Maurice Line, specjalista wprawdzie z „najwyższej półki”, ale wypowiadający się na każdy temat i często ambiwalentnie: bywał za, a nawet przeciw. Nikt inny tego wątku nie podjął.

Jak zauważa Bagrowa, wszyscy są natomiast zgodni co do użyteczności narodowych bibliografii, ewentualnie oczekując drobnych modyfikacji przedmiotowych - rozmaitych w różnych krajach. Za to kłopotliwe okazują się publikacje elektroniczne, ujmowane w tych bibliografiach mało konsekwentnie. Ani w sferze koncepcji, ani w postępowaniu, nie widać zdecydowania.

Z kolei ogromny wzrost liczby wypożyczeń międzybibliotecznych powoduje redukcję pośrednictwa i udziału w nich bibliotek narodowych. Intensyfikuje się elektroniczny tryb realizacji zamówień, natomiast coraz rzadziej jest to realizacja bezpłatna.

W odniesieniu do n a u k i o bibliotece i o informacji, autorski przegląd stanowisk potwierdza opinie Gormana. Z większości badań - zazwyczaj banalnych - nie ma żadnego pożytku praktycznego, a dziedzina (w zasadzie wszak interdyscyplinarna) z niepojętym uporem odcina się od rzeczywistej, zewnętrznej współpracy naukowej. Bo nie jest żadną formą współpracy nieporadne referowanie opinii, przejętych biernie z obszaru innych nauk.

Z przeglądu wypowiedzi o prawie bibliotecznym wynika z kolei, że działalność bibliotek jest przeważnie regulowana ustawami, ale najczęściej ogólnikowymi. Ewentualnie funkcjonowania bibliotek narodowych dotyczą niekiedy ustawy odrębne, a czasem - także bibliotek publicznych. Coraz częściej zaś pojawiają się ostatnio osobne ustawy o egzemplarzach obowiązkowych i przeważa powinność bezpłatnego dostarczania bibliotekom 3-5 egzemplarzy z każdego wydania.

Wszędzie za kłopotliwe (ale: dla bibliotek!!) uchodzi prawo autorskie, często nieradzące sobie w dodatku z publikacjami elektronicznymi. Interesy autorskie ma też chronić *lending right* (od siebie dodam, że to wielka lipa), wprowadzone w wielu krajach i lansowane przez UE. Natomiast ciekawa i niepokojąca zarazem jest refleksja Bagrowej, że oto można sobie wyobrazić taki komplet praw, który odbierze bibliotekom ich prerogatywy.

W związku ze starzeniem się społeczeństw, sporo miejsca w piśmiennictwie zajmuje biblioteczna obsługa osób starszych - chociaż sporo jest wśród nich analfabetów, a tym bardziej mało kto radzi sobie z elektroniką. W bogatych krajach biblioteki, za specjalne (dodatkowe) pieniądze, konstruują odmienne programy ofertowe dla osób w wieku 55/65, 66/80 i 81/100 lat - uwzględniając też naukę korzystania z komputerów. Idea jest taka, żeby również w tych przedziałach wieku życie mogło toczyć się w sposób naturalny. Nową specjalnością zawodową jest umiejętność pozyskiwania dodatkowych

środków dla bibliotek - *fundraising* - do której przysposabia się najlepszych bibliotekarzy. Sposoby postępowania są opisywane często i detalicznie, m. in. w jednej z sygnalizowanych tu (poz. 4) publikacji. Efekty są podobno zachęcające.

Autorka referuje też opinie na temat budownictwa bibliotecznego, ale niczego odkrywczego nie zauważyłem, no bo wszak idea *flexibility* obowiązuje od dziesiątków lat. Ewentualnie nowe jest żądanie zwiększonej estetyzacji samych budynków, moim zdaniem słuszne. Pobudowano bowiem albo biblioteki monumentalne, w stylu imperialnym i każda wygląda jak centralne więzienie - albo jeszcze więcej jest konstrukcji „szklarniowych”, gdzie można hodować ogórki.

Niewypałem jest natomiast rozdział, poświęcony zarządzaniu w bibliotekach. Są tam wyświechtane formułki, powtarzane niewolniczo setki razy, o TQM, o marketingu i o planowaniu strategicznym, z czego nie wynika nic. Natomiast wszystko zostało pomyłone: układ strukturalny, lokalizacja decyzji, funkcje zarządzania, style kierowania i na dodatek techniki zarządzania. Lecz to nie Bagrowa jest winna: tak właśnie wygląda ten obszar piśmiennictwa bibliotekoznawczego - również u nas.

ZASOBY ELEKTRONICZNE W BIBLIOTEKACH

Pojawiła się ważna, wieloautorska książka [3], weryfikująca i racjonalizująca refleksje na temat bibliotecznych kolekcji elektronicznych, zwłaszcza czasopiśmienniczych (*Collection management...*, 2005). I nawet jeżeli nie wszystkie teksty są jednakowo produktywne - stąd o *jedną gwiazdkę* mniej (****) - to jednak jest tam co najmniej kilka wypowiedzi, które trzeba przeczytać.

Docelowy model kolekcji biblioteki akademickiej to zasoby mieszane, więc elektroniczne o r a z drukowane - w proporcjach zróżnicowanych, zależnie od dyscypliny - budowane w międzybibliotecznej kooperacji. Formą najlepszą, mimo wielu biurokratycznych przeszkód, jest konsorcjum, jakkolwiek biblioteki małe są tam traktowane gorzej. Ale nie ma innego wyjścia.

To jest reakcja na ewentualność marginalizacji roli biblioteki w komunikacji publicznej, zwłaszcza naukowej, przez teoretycznie możliwą, bezpośrednią ofertę elektroniczną. Bo zresztą tę ofertę ktoś musi nadać, wprowadzić do sieci, więc trzeba również, żeby w imieniu swoich uczelni czyniły to też uczelniane biblioteki — zwłaszcza, jeżeli zaczną się wdrażać koncepcję *Open Access* (o czym za chwilę).

Ceny czasopism naukowych nieustannie rosną i to jest główny powód, dla którego redakcje przestawiają się na wersje elektroniczne, które dla nich są mniej kosztochłonne. Natomiast dla odbiorców, więc i dla bibliotek, wcale nie są i nie będą tańsze - zważywszy koszty wyposażenia (zmiennego!) i nieustannie rosnące ceny samych czasopism, które w ostatnim dziesięcioleciu zwiększyły się siedmiokrotnie (!). Ale to jest rynek nadawcy, więc nie ma wyjścia. W wielu bibliotekach prenumerata naukowych czasopism elektronicznych pochłania już 1/4 kosztów całej prenumeraty, mimo że ilościowo jest to z n a c z n i e mniej, niż 25% ogółu abonowanych tytułów.

Dlatego biblioteki szukają różnych rozwiązań, od wspólnego, konsorcyjnego prenumerowania czasopism elektronicznych, po prenumeratę tymczasową, bez archiwizacji (jeśli nie jest nieodzowna) - bądź wybiórczą: tylko wybranych artykułów, na co wydawcy patrzą jednak krzywo. Tam zaś, gdzie funkcjonują te same czasopisma w dwóch wariantach, biblioteki często rezygnują z wersji drukowanej.

Mimo to koszty nadal rosną, a sieciowo-biblioteczne rozpowszechnianie elektronicznych czasopism i książek musi wszak pozostać bezpłatne. To z tego wzięła się idea *Open Access* Petera Subera, lansowana przez IFLA, a zakłada-

jąca, że ani autorzy, ani wydawcy, nie będą za swoje edukacyjne i naukowe „wytwory” w sieci pobierali żadnych opłat. Od siebie dodam, że naiwność jest wręcz infantylna i stąd nikłe efekty tej akcji.

Ale oto w USA wymyślono wariant nieco racjonalniejszy. Otóż uczelnie, które przecież płacą za kupno materiałów elektronicznych do swoich bibliotek, mogłyby te same środki przeznaczyć dla swoich autorów oraz swoich edytorów, umieszczając (poprzez biblioteki) teksty w sieci - do (już) darmowego rozpowszechniania. Gdyby zrobiły tak wszystkie uczelnie, to...

No właśnie: gdyby. Poza tym - jak twierdzi wielu - umieszczanie w sieci długich tekstów, choćby i naukowych, kłóci się z istotą komunikacji elektronicznej. Tak więc to też jest utopia, jakkolwiek nieco racjonalniejsza, bo jednak odnosi się do pieniędzy, bez których można liczyć tylko na krasnoludki.

BIBLIOTEKA W ŚRODOWISKU

Trafiłem na książkę [4] charakteryzującą w sposób rozumny i kompetentny pozausługową ofertę programową bibliotek (Robertson, 2005). I wprawdzie nie jest to publikacja naukowa, ale widać że autorka, Deborah Robertson, zna się na rzeczy i dobrze wie o czym mówi, bo zresztą w ALA kieruje Biurem Programów dla Publiczności (jest takie). To bardzo pożyteczny poradnik bibliotekarski (****), zawierający konkretne przykłady, scenariusze i wskazówki oraz refleksje metodologiczne - a ewentualne zastrzeżenia można mieć tylko do nadmiernie zinfantylizowanej stylistyki wypowiedzi.

Według autorki, biblioteczne imprezy i programy pracy z użytkownikiem są przez połowę amerykańskich bibliotekarzy uznawane za powinności równie ważne jak usługi, szczególnie w bibliotekach publicznych. Za ich sprawą, biblioteki nie tylko wspierają edukację i oferują rozrywkę, ale wzbogacają też ofertę kulturalną oraz stają się ośrodkami społecznego dialogu i środowiskowej integracji. Przy okazji zaś intensyfikuje się obieg zasobów, wzrasta promocja usług i rośnie autorytet bibliotek.

W USA korzysta z bibliotek 65% dorosłych i oferta pozausługową - twierdzi Robertson - jest w cenie. Lecz przy takiej masie chętnych nie sprawdzają się propozycje uniwersalne: trzeba je dywersyfikować, różnicować według rodzajów publiczności. I zależnie od założenia, nastawiać się już to na zwiększoną liczbę uczestników, albo odwrotnie: na intensyfikację udziału.

Do organizacji imprez potrzeba partnerów, skłonnych do sponsorowania i wspierania organizacyjnego, jeśli to możliwe: przez dłuższy czas. Zaś o potencjalnych partnerach trzeba wiedzieć wszystko, zwłaszcza czego mogą spodziewać się po takiej współpracy - i tak ją następnie zaaranżować, żeby te oczekiwania zostały uznane za spełnione. Przy tej okazji Robertson sygnalizuje renesans ruchu kół przyjaciół bibliotek, skąd napływa znaczące wsparcie finansowe, organizacyjne i promocyjne.

W książce opisano różne formy imprez bibliotecznych - z krótką charakterystyką oraz uwagami realizacyjnymi. Zarówno metodologia, jak i sam rejestr, nie odbiegają od tego, co u nas się na ten temat pisze i wie. Pokrywa się nawet sugestia, że od pojedynczych imprez znacznie użyteczniejsze są serie i cykle form, w jakiś sposób powiązanych.

Autorka przedstawia opisy już zrealizowanych przedsięwzięć, zamieszczając także materiały promocyjne. Oto kilka wybranych pomysłów.

Środowiskowe czytanie tej samej książki - w całym mieście lub w gminie - połączone z późniejszymi dyskusjami bibliotecznymi; to ma być również forma lokalnej integracji. Albo: prezentacja najlepszych książek dla dzieci całym rodzinom, więc także oczywiście rodzicom. Poza tym - różne programy promocji czytania dla osób dorosłych, czytających (w sensie technicznym) słabo. Oraz jeszcze festiwale książki (wystawy, imprezy literackie), połączone ze sprze-

dążą - często w bardzo rozległej skali; patronką jednego z większych festiwali była Laura Bush. Ciekawe natomiast, że niewiele jest w książce przywołań form, związanych (choćby pośrednio) z komunikacją elektroniczną.

Robertson serwuje też różne, konkretne porady i wskazówki. W jaki sposób pozyskiwać środki na imprezy i jest to wywód drobiazgowy, lecz dostosowany do realiów wyłącznie amerykańskich. Po co (kogo) i jak pozyskiwać osoby do prowadzenia imprez, liderów, wykładowców - z niezwykle odkrywczą radą, że trzeba im dobrze zapłacić. Oraz jak realizować akcje, promujące imprezy, przeznaczone również dla nieużytkowników bibliotek. Wątkiem wspólnym tych porad jest zaś sugestia, że należy społeczeństwu oraz potencjalnym donatorom pokazać przy tej okazji biblioteki jako instytucje oryginalne, ciekawe i zdumiewająco użyteczne.

W sumie, jest to bardzo dobry poradnik metodyczny, wzbogacony dokumentacją imprez już zrealizowanych. Jednego tylko czytać nie należy: powiadomień, ile na każdą z tych imprez wydano, można bowiem popaść w kompleksy. To jednak jest inny świat.

ELEKTRONIZACJA KATALOGÓW MUZEALNYCH

Nie tylko biblioteki coraz szerzej pośredniczą w komunikacji elektronicznej oraz starają się wykorzystać ją dla swoich powinności. Czynią to również muzea, konstruując międzymuzealne katalogi elektroniczne swoich zasobów, a także rekonstruując dygitalnie i prezentując w sieci niektóre zgromadzone eksponaty. Takie też inicjatywy przedstawia [5] specjalna publikacja wieloautorska (*Collaborative access...*, 2004), budząca zresztą sporo wątpliwości (**), a zredagowana przez Bernadette G. Callery, kierowniczkę biblioteki Muzeum Historii Naturalnej w Pittsburgu.

Jak prawie każda bibliotekarka, której uda się bodaj na chwilę oderwać od zawodowej roli, B. G. Callery traktuje biblioteki protekcyjnie i stanowczo twierdzi, że elektroniczna oferta bibliotek nie wytrzymuje porównania z taką ofertą muzealną. Mianowicie, jej zdaniem, biblioteki zajmują się tylko rozpowszechnianiem informacji o faktach, muzea natomiast proponują jeszcze interpretację treści swoich zasobów, a w wersji elektronicznej podejmują interakcję z publicznością. Czemu niby tak i dlaczego to akurat ma być coś innego - oraz jak rozumiem: lepszego - wie tylko sama autorka, a potwierdzenie wymagałoby wyłączenia logiki, więc może szkoda zachodu.

Owszem, budowa katalogów intermuzealnych może być trudniejsza, niż międzybibliotecznych, z uwagi na zróżnicowany charakter zasobów - chociaż sprowadzanie różnic tylko do piśmienności i wizualności (a tak napisano) wydaje mi się trywialne. Z powodu natomiast rzeczywistych różnic (muzea: historii naturalnej, historii kultury, etnograficzne, sztuki, a nawet muzyczne), powtórzyły się korporacje branżowe.

Według zgodnych opinii (nie tylko w tej książce), format MARC nie jest dla muzeów użyteczny, dlatego posłużono się standardem Dublin Core oraz XML. To, rzecz jasna, wymagało opanowania stosownych umiejętności i wypracowania odpowiednich słowników (w muzeach lokalnych pojawia się mnóstwo nieznanymi gdzie indziej nazw i nazwisk), ale takie wymagania oraz komplikacje istnieją zawsze.

Także sama idea międzymuzealnej współpracy i współtworzenia katalogów, napotykała na liczne opory, co w bibliotekarstwie znamy nie od wczoraj. W końcu udało się jakoś pokonać obawy i powstało kilka sieciowych katalogów muzealnych, a także (choć mniej) wizualnych remediacji zasobów. Trzeba jednak dopowiedzieć, że skala zamierzeń, jak i liczebność świadczonych usług - tam, gdzie to podano do wiadomości - jest na razie niewielka. Ale początek został zrobiony.

Natomiast o różnorodności przedsięwzięć niech zaświadczy rejestr inicjatywnych muzeów. No więc duże i małe muzea w stanie Washington połączyły powiadomienia o zasobach, związanych z historią lokalną i podobnie w stanie Ohio udało się pokazać 320 kolekcji historycznych, po części nawet prywatnych. Pojawił się internetowy katalog Muzeum Muzyki i także - Muzeum Indian Amerykańskich. Są poza tym projekty prezentacji w sieci obiektów kultury chińskiej, ale brakuje współrealizatorów oraz standardów dla translacji chińskiego pisma. Nie ulega jednak wątpliwości, że prób będzie coraz więcej i dla bibliotekarstwa jest to sygnał pobudzający.

Jacek Wojciechowski

Instytut Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa
Uniwersytetu Jagiellońskiego

KSIĄŻKI OMÓWIONE

- [1] Gorman, Michael (2005). *Our own selves. More meditations for libraries*. Chicago: American Library Association, 225 s. ISBN 0-8389-0896-9 (****).
- [2] Bagrowa, Irina I. (2004). *Nacjonalnyje biblioteki i problemy razwitja biblioteczno-wo dieta za rubieżom w końce XX — naczale XXI wieka. Obzory, referaty, pieriewody anglojazycznoj litieratury*. Moskwa: Paszkow Dom, 498 s. ISBN 0-7890-2936-7 (****).
- [3] *Collection management and strategie access to digital resources: the new challenges to research libraries* (2005). Ed. Sul H. Lee. New York: The Haworth Information Press, 151 s. ISBN 0-7890-2936-7 (****).
- [4] Robertson, Deborah A. (2005). *Cultural programming for libraries. Linking libraries, communities and culture*. Chicago: American Library Association, 107 s. ISBN 0-8389-3551-6 (****).
- [5] *Collaborative access to virtual museum collection information: seeing through the walls* (2004). Ed. Benadette G. Callery. New York: The Haworth Information Press, 123 s. ISBN 0-7890-2934-0 (**).

Tekst wpłynął do redakcji 13 lutego 2006 r.